

Rozbitek

Morze przygląda mi się z uwagą, a ja czuję niepokój. Dzieli nas spory dystans. Ono widzi mnie w całej okazałości, nie mam przed nim tajemnic, nie mam gdzie się ukryć. Próbuję ujrzyć jego oblicze od dawna, lecz powoli tracę nadzieję i utwierdzam się w nieprzyjemnym przeczuciu. Morze nie ma twarzy.

Fale nacierają na łódkę złośliwie i nerwowo. Jestem obcy... Mój mały, sztuczny ład jest zdany na łaskę żywiołu i moje milczenie. Bezkres wód nie ma w sobie smutku, ale gdy zachwył powoli ustępuje, trzęsę się ze strachu. Nie zaatakuję mnie żaden z morskich potworów. Wierzę, że w otchłani, po której powierzchni niesie mnie los, nie kryje się zło. Niczego tam nie ma. Dopadają mnie duszności. Słabnę i boję się flauty, która wkradła się w moją podróż niedyskretnie, osaczyła mnie i trzyma w garści moje życie.

Mój dobytek nie jest ani okazały, ani imponujący. Wiozę ze sobą w worku parę ubrań, buty, jedną książkę – *Wybór nowel* Strindberga. Interesuje mnie w niej opowiadanie o celniku, czytam je w kółko, każdego wieczora, pewne ustępy przyswoiłem sobie na tyle skrupulatnie, że w nocnej głuszy recytuję je niekiedy morskim odmętom. Odmęty są najwierniejszym słuchaczem. Słuchaczem, który nie buntuje się, nie komentuje, nie doradza i nie opuszcza sali w trakcie przedstawienia. Lubię wyobrażać sobie, że, swoim delikatnym, jednostajnym szumem, morze wyraża spokojną aprobatę.

Nie płynę z pewnością krótko, lecz nie płynę też długo. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy znalazłem się w łodzi. Posuwam się jednak do przodu przełamując opór wody, ponieważ rozumiem, że muszę dotrzeć na drugi brzeg. Zastanawiam się czasem rozmarzony, w przypływie melancholii, czy nie obciąża mnie żadna ważna misja, ale przypominam sobie, że nie wręczono mi skarbów lub dokumentów. Nikt nie wyszeptał mi też wielkiej wagi sekretu, który niósłbym ze sobą teraz na drugi brzeg, by oświecić innych ludzi.

Samotność, na którą jestem skazany, sprzyja mi i stała się moim najlepszym przyjacielem. Przeprosiłem się z nią z konieczności, z początku odnosząc się do niej sceptycznie i z rezerwą. Po wielu dniach podróży zbliżam się dzięki niej ku samemu sobie. Żywię się przeważnie złowionymi rybami, chociaż wciąż trzymam pod pokładem spore zapasy.

Jednostajność i monotonia to moje dwie drogi, które przecinałyby się zapewne jeszcze bardzo długi czas, gdybym pewnego dnia nie ujrzał na horyzoncie sterczącego z wody

dziwaczego kikuta. Zjawiska tego typu, nieoczekiwane i niewytłumaczalne, rodzą w człowieku pytania, budzą trwogę, ale i ciekawość. Delikatnie zmieniam kurs, żeby zbliżyć się do tej osobliwości. Gdy jestem już niedaleko, dociera do mnie, że spotkałem człowieka. Siedzi zmarznięty i dygocze na żalösnej, śliskiej skorupie. Zapewne jest to pozostałość po jego łódce, bardzo podobnej rozmiarem do mojej. Mierzmy się wzrokiem. Zaglądam w jego szkliste oczy i nie jestem pewien czy wilgoć pokrywająca jego twarz to łzy czy morska woda. Ustawiam moją łódź pod wiatr, zatrzymuję się przy nim i staję przed decyzją.

Jeśli zostawię go tutaj, nie doczeka następnego poranka, przeziębiony i słaby zsunie się w lodowatą toń. Czy jednak mogę podać mu rękę i wpuścić do siebie? Dokoła robi się coraz ciemniej, zbliża się noc. Jeśli odpłynę, pozostawię go w mroku bez szans nawet na godną śmierć...

Siedzimy razem pod pokładem przy wąłym świetle rzucanym przez gasnącą lampę. Podaję mu ręcznik i okrywam go ciepłym kocem. Unikam jego spojrzenia, w którym nie potrafię uchwycić emocji. Charakter i kształt jego twarzy jest przykryty gęstą, od tygodni niegoloną, brodą. Nie wiem, jak wygląda człowiek, który siedzi naprzeciwko mnie – nawet wtedy, kiedy na niego patrzę. Dzielimy się rybami, które dziś złowiłem. Jest wygłodniały i łapczywie rozdziera delikatne mięso. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że na jego obliczu wymalowany jest wstyd. Wstyd ciężki i duszący, świadomość całkowitej niesamodzielności i zależności, w którą właśnie popada. Obecność Rozbitka ściąga na mnie nową odpowiedzialność.

W nocy wychodzę na pokład z nowelami Strindberga. Usadawiam się i czytam na głos opowiadanie o celniku. Morze przyjmuje ciche słowa łaskawie, możliwe, że z lekką tęsknotą. Rozbitek, który śpi już od dłuższej chwili, przebudza się, wychodzi niepostrzeżenie spod pokładu, siada niedaleko mnie i słucha. Dostrzegam go dopiero, kiedy lektura jest zakończona. Wiatr świszczy, lecz noc jest spokojna. Nie widać nic, chmury zakryły księżyc i gwiazdy, otula nas gęsty mrok. Chwilę przed zapadnięciem w sen spotykam jego spojrzenie. Obserwuje mnie uważnie. Myśli.

O poranku budzą mnie bezlitosne promienie słońca, nadchodzi upalny dzień. Rozbitek jest już na pokładzie. Trzyma między nogami wiadro z wodą i goli się jedną z moich żyłek. Ciężka, skołtuniona broda opada skrawkami na ziemię odsłaniając oblicze... Rozpoznaję ten lekko zbląkany uśmiech, jeszcze wczoraj niewidoczny i niedostępny. Także spojrzenie Rozbitka jest dużo żywsze, ostrzejsze i bardziej przenikliwe. Obraca się ku mnie, jest napojony i syty. Nieprędko orientuję się, że przywdział moją garderobę, ubrania leżą na nim tak dobrze,

jakby uszyto je na miarę... Znika pod pokładem i po paru minutach podaje mi śniadanie przygotowane z moich zapasów.

Dzień mija jak każdy inny. Co jakiś czas próbuję wejść w dialog z gościem, ale on zachowuje się, jakby nie znał mojego języka. Reaguje obojętnie, a nawet lekceważąco. Czuję się wówczas na własnej łodzi, jak niechciany intruz, jakbym przeszkadzał Rozbitkowi w jego życiowej rutynie. Może jest niemową, a ja uraziłem go już wielokrotnie próbując wciągnąć go w rozmowę?

Popołudniu nagle zmienia się wiatr, musimy halsować. Z satysfakcją konstatuje, że mój gość zna się na żeglarstwie nie mniej niż ja. Uspokajam się. Może uda nam się zbliżyć? Miałbym więcej czasu na odpoczynek, nie musiałbym nieustannie czuwać i wypatrywać niebezpieczeństw... Kiedy zmieniamy się miejscami, przez moment stajemy blisko siebie, twarzą w twarz, obaj zaskoczeni tą niespodziewaną sytuacją. Odbijam się w nim jak w lustrze, jego oczy są przecież tak podobne do moich. Jest mojego wzrostu, chodzi w mojej koszuli. Uśmiechamy się obaj zdezorientowani, lewy kącik ust unosi się nieśmiało w górę. Oba lewe kąciki...

Gorący dzień wyparowuje już i dobiega końca, zjadamy ryby, które Rozbitek złowił, kiedy drzemałem w czasie ekstremalnego upału. Sięgam po Strindberga i czytam na głos, po cichu, harmonijnie z tym samym opanowaniem, z którym czytałem go zawsze morzu. Teraz mój słuchacz jest żywy, martwię się. A co jeśli zaprotestuje? Jeśli w pewnej chwili podniesie głos, krzyknie, zburzy ład, który budowałem przez tak długi czas? Niepokoję się. Teraz, kiedy widzę twarz mojego towarzysza, kiedy jestem w stanie objąć umysłem jego obecność, wszystko staje się na ponów ludzkie. Morze wciąż patrzy na mnie, ale ja nie skupiam się na nim. Uciekłem przecież od czegoś... Płynę na drugi brzeg, żeby być gdzieś indziej, z nadzieją, że przyjmie mnie świat, w którym trudno się zadomowić. Jestem głupcem! Dopadła mnie przeszłość, podałem pomocną dłoń człowiekowi! Śmieję się w duchu ze swojej łatwowierności, jestem tak naiwny... Cóż mi dobrego przyjdzie z tego Rozbitka!

Gdy kończę czytać *Celnika* zapada głucha cisza. Jak mogłem dobrowolnie oddalić się od morza i dać się usidlić kłusownikowi? Nie mogę już nic zrobić. Rozbitek podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu, po czym swobodnie i płynnie wyciąga książkę z moich rąk i wraca z nią na swoje miejsce. Przyglądam mu się, kiedy wertuje tekst, po czym zaczyna czytać. Spokojnym, cichym głosem. „Mamo”, myślę i przed oczami staje mi mama siedząca na krześle, czytająca mi na dobranoc piękne, wzruszające książki. „Od czego ja uciekłem?” Głos Rozbitka niesie się po grzbietach fal, które nikną i pojawiają się z szumem tworząc morską symfonię. Chcę krzyknąć, podnieść się, przerwać jego lekturę, ale boję się, tak bardzo się boję... Przecież

nie mogę, przecież on może czyta wyłącznie dla morza, ku jego pięknemu pomrukowi i ku gwiazdom, ku pełni księżyca, który odbija słoneczne promienie i pozwala nam zachwycić się magią chłodnego wieczoru i lodowatej nocy. Łzy płyną po mojej twarzy. Mamo, przepraszam, nie chciałem cię opuścić, musiałem wyjechać. Rozbitek recytuje tekst nie patrząc na słowa. Jego usta poruszają się, pierś unosi miarowo z każdym wdechem i wydechem, jest tak niewzruszony... To przecież te fragmenty, które utkwiły w mojej pamięci, które także znam. Próbuję się przyłączyć, mówić razem z nim, głos zamiera mi w gardle. Trzeba zmienić kurs, zwrócić się z powrotem ku przystani, z której ruszałem. Morze jest jednak tak przepastne, czy mi wybaczy? Rzucam się ku sterowi, żagle łopoczą przeraźliwie, łódź przechyla się przy zwrocie, recytacja zanika na chwilę w huku. Tekst się kończy. Rozbitek schodzi nieporuszony pod pokład i kładzie się na koi, skąd po upływie paru sekund dochodzi ostentacyjne chrapanie. Długo siedzę jeszcze przy sterze próbując opanować szloch. Zasypiam.

Ranek jest pochmurny, Rozbitek budzi mnie podsuwając poobijany talerz, na którym leży nieotwarta konserwa i kiwa głową w kierunku czegoś, co dostrzega na horyzoncie. Podnoszę się powoli, zaspany i w oddali widzę kikut, skorupę, z której go zabrałem. Przypominam sobie, że w nocy zmieniłem kurs, wieje mocny wiatr, niesie nas szybko. Czy rzeczywiście powinienem tam płynąć? Czy czas, żeby zawrócić ponownie i nadal iść kursem na drugi brzeg?

Ale jest już za późno. Przepływamy obok kadłuba, wychylam się, żeby mu się przyjrzeć i Rozbitek spycha mnie do wody. Spadam beznadziejnie w morskie odmęty, a moja łódź odpływa. Nie dogonię jej. Wdrapuję się bezradnie na gnijącą już skorupę i obejmuję kolana rękami drżąc z zimna. Rozbitek macha do mnie ręką na pożegnanie i krzyczy:

- Płynę do mamy!

Patrzę na niego, jak znika za horyzontem i myślę: „Jaki podobny! Jaki on jest do mnie podobny!”